

W każdej klasie mało wdawał się w rozmowy z nauczycielką, natomiast pilnie badał dzieci, które — prawem niezrozumiałym — są odbiciem najwzierniejszym nauczycielki, jej ruchów, tonów i... serca.

Egzaminował dzieci podług programu, lecz starał się przeniknąć do ich umysłów. Między innymi pytaniami stawiał jedno — wszędzie to samo, zreżymowane — któremu przypisywał siłę rewelacyjną:

— Wymień, jaką znasz kobietę najbardziej godną uznania?

Czekał na odpowiedź, fascynując wzrokiem dzieci, starając się uchwycić znamieny wyraz twarzy, zdradzieckie słowo...

„Ale wszędzie twarze i umysły układały się odpowiednio dla inspektora, wszędzie odpowiedź była owocem szkolnej pracy:

— Joanna d'Arc, Jeanne Hachette... Czasami, oryginalniej: Marja Medycejska, Karolina Corday.

Szkoła w Chabois była wyjątkowo biedna.

Inspektor zauważył, że działy zachowywały się inaczej, niż w innych szkołach. Każde dziecko myślało samodzielnie, odpowiedź jednego nie wpływała na inne.

Inspektor przebiegł wzrokiem klasę i dzięki doświadczeniu, nabytemu dwudziestoletnią pracą, poznawał dzieci o wybitniejszym intelekcie, dzieci, stanowiące przyboczny orszak i odbicie nauczycielki.

— Powiedz mi, dziewczynko — tak, ta w niebieskiej sukience — jaką znasz kobietę najbardziej godną uznania? Cóż, nic nie masz do powiedzenia?

Mała o poważnej twarzyczce i spojrzeniu, mówiąc: „A cóż to ciebie może ciebie obchodzić?“ odparła spokojnie i z prostotą:

— Znam, panie inspektorze — moją matkę....

Inspektor zamyślił się. To już coś, ale chyba jeszcze nie to. Może „nieznajoma“ była tutaj czas jakiś.

— Jak dawno uczy pani w tej szkole? — spytał nauczycielki.

— Od pół roku. Ta, która była przedemną...

— Dziękuję pani, to mnie już nie obchodzi.

Gdy pan inspektor wszedł do szkoły w Pluceux, natychmiast poczuł pewne podobieństwo nastroju ze szkołą w Chabois.

Dzieci były mniej nędzne, ale twarzyczki ich, tak jak i w Chabois, a nawet bardziej jeszcze, wyrażały indywidualność i obecność myśli.

Na słynne pytanie wiele dzieci odmówiło odpowiedzi, ale widać było, że nie czynią tego z nieświadomości — wiedza, tylko nie chcą powiedzieć.

Wysłuchawszy kilku nieumiknionych Jeanne d'Arc inspektor zagadnął dziesięcioletnią dziewczynkę w żałobie:

— Wymień, malutka, kobietę najbardziej godną uznania.

Dziewczynka spojrzała na niego wielkimi oczami z ledwo dostrzegalnym zdziwieniem i wyrzutem.

— Nie chcesz odpowiedzieć?

— Nie chce — skinęło dziecko główką.

A inspektorowi wydawało się, że jasna i smutna twarzyczka dziecka mówi:

— Żeby ci odpowiedzieć, musiałabym odkryć moje „ja“, które należy tylko do mnie, wszelkie prawa inspektorskie nie mają mocy wobec mego „ja“ — cokolwiek ono myśli lub czyni — nie możesz wiedzieć ani sądzić.

Podczas gdy nauczycielka pisała zadanie na tablicy, inspektor dowiadywał się u innego dziecka:

— Twoja koleżanka, którą teraz pytałem, to sierota?

— Nie ma już matki w domu, proszę pana, ale mimo to ma ona mamusię.

— Jakże to?

Milczenie i znów ten wyraz twarzy, mówiący:

— Hola, panie inspektorze, nie chodź dalej, każde z nas ma prawo do swych myśli.

Dzięki temu „zakazowi dowiedzenia się“ inspektor odjechał uświadomiony. Sierot-

ka miała matkę w szkole. Nauczycielka była najbardziej godną uznania kobietą dla sierotki. I w tej szkole orszak nauczycielki przeczuł intuicyjnie, że istnieje swoje „ja“ którego tykać nie wolno.

A nauczycielka nie różniła się istotnie od wszystkich innych nauczycielek...

— Pan inspektor wrócił do prefektury.

Prefekt, chcący z kolei egzaminować — spytał go żartobliwie:

— I cóż? Promocję Legji trzymam w zawieszeniu. Kto jest moją doskonałą nauczycielką? Czegoś się dowiedział?

Pan inspektor dowiedział się wielu rzeczy podczas swego objazdu. Najważniejszą była niewątpliwie „solidarność milczenia“, nauczona przez małą sierotkę o poważnej twarzyczce, gdyż inspektor przybrał ten sam wyraz twarzy, pogodny, a niezbadany, i cicho odparł:

— Nie mam nic do powiedzenia, panie prefekcie.

Tłum. Ir.

M. Flory,



Słynna artystka Komedii Francuskiej została przez jury uznana za pierwszą piękność Francji.



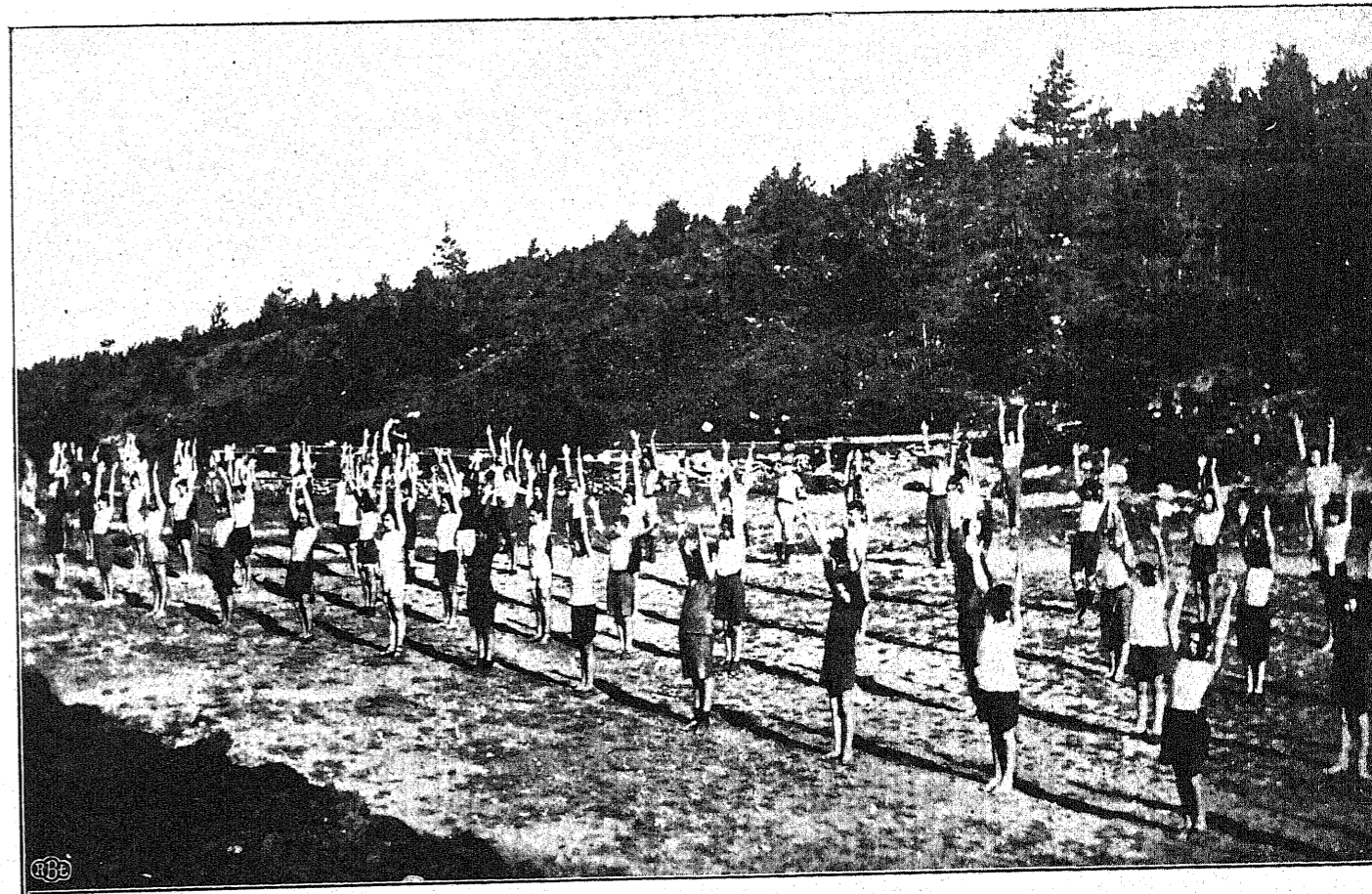
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 26 września 1926 roku.

Nr. 39.

W kuźni zdrowia i siły fizycznej.



Ranna gimnastyka w obozie letnim Y, M. C. A. dla chłopców w Mszanie Dolnej.

Teatralja.

Kronika stołeczna. Co słycać na prowincji? — Oryginalny teatr.

Wystawienie „Snu srebrnego Salomei“ w Teatrze Narodowym jest obecnie najpoważniejszym ewenementem życia teatralnego Warszawy. Jedno z najpłomienniejszych i najpotężniejszych dzieł dramatycznych naszego „księcia poetów“ w którym krwawa realność splata się z górną i bujną romantycznością w przedziwny węzeł twórczej fantazji Słowackiego — jest przy scenicznej realizacji zadaniem niebywałym. Nawet dla tak wytrawnego i doświadczonego reżysera jak p. Teofil Trzciański, szczęśliwie pozyskany dla sceny warszawskiej. Różnorodność i różnobarwność nitki poetyckiego tworzywa z którego utkany został subtelny rysunek „Snu srebrnego Salomei“ — stwarza w pracy inscenizacyjnej trudności olbrzymie, dla których usunięcia potrzebny byłby zespół środków technicznych i personalnych o idealnym niemal poziomie.

Rzecz zrozumiała, że nawet przy widocznym dobrze a nader sumiennym wysiłku reżysera, nie wszystkie z tych szkopułów, o których wyżej, dały się ominąć pomyślnie. W szczególności — wyraźna była dysharmonia pomiędzy symboliczną fantastycznością pięknych, samych w sobie, dekoracji (Drabika, a par excellence realistycznym potraktowaniem wielu scen i momentów dramatu. Poglębia to jeszcze i wyłaskrawia te zawilgości i poetyckie licencje samego dzieła, które uchodzą urwadze czytelnika, pogrążonego w rozkoszy chłonięcia czarodziejskiego wiersza Słowackiego — ale na scenie występują ipso facto w sposób wyraźny i dosadny.

Pierwszorządna obsada ról, zwłaszcza w dziale męskim, wyrównała i zacieniła wiele usterek inscenizacyjnych. Dość wymienić, że Wenryhorę grał Solski, Regimentarza —

Frenkiel, Sawę — Leszczyński, Pafnucego — Brydziński, Semenkę — Węgrzyn; w roli Leona zaprezentował się publiczności warszawskiej dobry nasz znajomy ze sceny Łódzkiej, utalentowany p. Alfred Szymański. — Słowem — rewja talentów aktorskich rzadko w jednej sztuce spotykana! Słabiej natomiast wypadła obsada ról kobiecych, miewtyle ze względu na niedostatek kwalifikacji ogólnych (o czem nawet mowy być nie może) p.p.: Gromniciej (Salomea) i Zahorskiej (Księżniczka), ile maskutek niezupełnie odpowiedniego kwalifikacji tych zastosowania.

W każdym bądź razie cenna próba realizacji „Snu srebrnego Salomei“ na scenie Teatru Narodowego stanowić będzie dużego znaczenia wkład do repertuarowego skarbcza tego Teatru; i należy wierzyć, że wkład ten nie będzie bynajmniej spoczywał bezczynnie, lecz przeciwnie — jak najczęściej sycić będzie publiczność tęczością i pięknnością, właściwą klejnotom wielkiej poezji.

Sygnalizowany przez nas niebezpieczny spór dyrektora opery warszawskiej z zespołem chórzystów, grożący nawet uniemożliwieniem Teatru Wielkiego, został szczęśliwie, drogą wzajemnych ustępstw, załagodzony. Opera ruszyła z miejsca, sezon się rozpoczął. Niestety, jednak, brak fachowego a energicznego kierownictwa oraz ogromnie bolesne dla imprezy operowej redukcje (np. w orkiestrze) usposabiają raczej do dość ponurego zapatrywania się na koleje bieżącego sezonu. Sprawa opery warszawskiej jest w swem obecnym stadium czemś wielce podobnym do... kwadratury koła. W warunkach aktualnych, bardzo odległych od pożądanego poziomu, trudno liczyć na normalną choćby frekwencję; a więc deficyt nieunikniony. „Zlikwidowanie“ Opery, na wzór Teatru im. Bogusławskiego, sprawy również nie rozwiąże, gdyż spowodowałoby konieczność wypłacenia bardzo wysokich, w szczególności i wogóle, odpraw per-

sonelowi Opery, dość licznemu jeszcze, mimo wszelkie redukcje; i ta więc alternatywa daje Magistratowi straty. I tak źle, i tak niedobrze... A najgorsze to, że brak właściwego człowieka na właściwym miejscu, któryby imprezę operową potrafił ująć w cugle i umiejętnie wyprowadzić na szeroką, równą drogę... Wprawdzie tegoroczny budżet teatrów warszawskich przewidyje dla Teatrów Wielkiego i Narodowego 2 i pół milj. złotych deficytu, ale bardzo być może, że bezczka bez dna, jaką od pewnego czasu są teatry miejskie w Warszawie, pochłonie nie tylko tę poważną sumę, ale jeszcze więcej, daleko więcej.

Bolesną sprawą zamknięcia Teatru im. Bogusławskiego zajęli się, niejako z urzędu Z. A. S. P., składając na ręce pp. ministrów oświecenia publicznego oraz pracy i opieki społecznej jednobrzmiący memoriał z żądaniem rewizji tego wszechpolskiego już dzisiaj skandalu. Parę zdań z tego memoriału wyjętych, wprowadza nas odrazu in medias res i uzasadnia głęboką słuszność wystąpienia Z. A. S. P.: „...Ludzony obietnicami wydzierżawienia gmachu przyszły kierownik teatru... nawiązał pertraktacje z wieżę strony innych teatrów, mniemając, iż posiadają zapewniony warsztat pracy. Uchwalałoma artystami, którzy wobec tego odrzucali nieraz bardzo korzystne propozycje Magistratu, mocą której Teatr im. Bogusławskiego ma przejść pod zarząd wydziału kultury i oświaty, zaprzepaszcza całkowicie istnienie popularnej sceny, gdyż wydział ten, nie posiadając odpowiedniego budżetu, nie będzie w stanie stworzyć żadnej tego rodzaju instytucji“...

Chciałoby się widzieć że ten gorący apel Z. A. S. P. nie pozostanie głosem wołającego na puszczy, lecz znajdzie oddźwięk i zrozumienie u kierowniczych sfer rządowych.

Pomyślniejsze zato wieści idą z prowincji, co dowodzi, że praca szczerzenia kultury teatralnej nie pozostaje bez wyników, jeśli tylko prowadzona jest systematycznie i wytrwale. O organizacji teatrów wileńskich w sezonie bieżącym, pod ogólnym kierownictwem dyr. Osterwy, już pisaliśmy obszerniej. Dodamy tu tylko, że sezon w t. zw. Teatrze Polskim, pod bezpośrednią dyrekcją p. Fr. Rychłowskiego, rozpoczął się już w dniu 1 b. m. i zapowiada się jak najlepiej. Jak dotychczas, teatr ten ma codziennie wypełnioną widownię, co jest na stosunki wileńskie rzeczą niewidzianą. Obniżenie cen miejsc gra z pewnością w tem pocieszającym zjawisku rolę nieposlednią. Pomyślnie również załatwiono sprawę teatru w Toruniu, powierzając zrzeczeniu artystów prowadzenie teatru operowo - operetkowego. W ten sposób kierownictwo zamierza przyciągnąć do teatru publiczność niepolską, co ze względów choćby tylko finansowych ma poważne znaczenie. Trudniej byłoby to osiągnąć przy istnieniu teatru dramatycznego. A więc — sui generis kompromis. Pomyślnie rozpoczął już sezon teatr płocki, wystawiając zawsze mile widzianego „Pana Damazego“. Kierownikiem tej placówki nadwiślańskiej jest p. Denhoff-Gołogowski, reżyserem p. Hryniewicz.

A teraz mała ekskursja aż — na drugą półkulę. W najbliższej przyszłości rozpocznie w Nowym Jorku działalność teatr wielce oryginalny, teatr — damski. Kierownictwo handlowe i artystyczne oraz finansowanie teatru spoczywają wyłącznie w ręku kobiet. W zespole jest znakomita przewaga przedstawicielek płci pięknej. Przy wyborze sztuk pierwszeństwo będą miały utwory młodych autorek dramatycznych. Poza-tem założycielki teatru zamierzają już w przyszłym roku przystąpić do budowy własnego gmachu... Jeśli tylko te wybitnie feministyczne tendencje pójdą w parze z poważną tendencją — artystyczną, wszystko będzie dobrze, a „damski teatr“ stać się jednym z najciekawszych curiosów nowojorskich. Delta.



Przed karczmą.

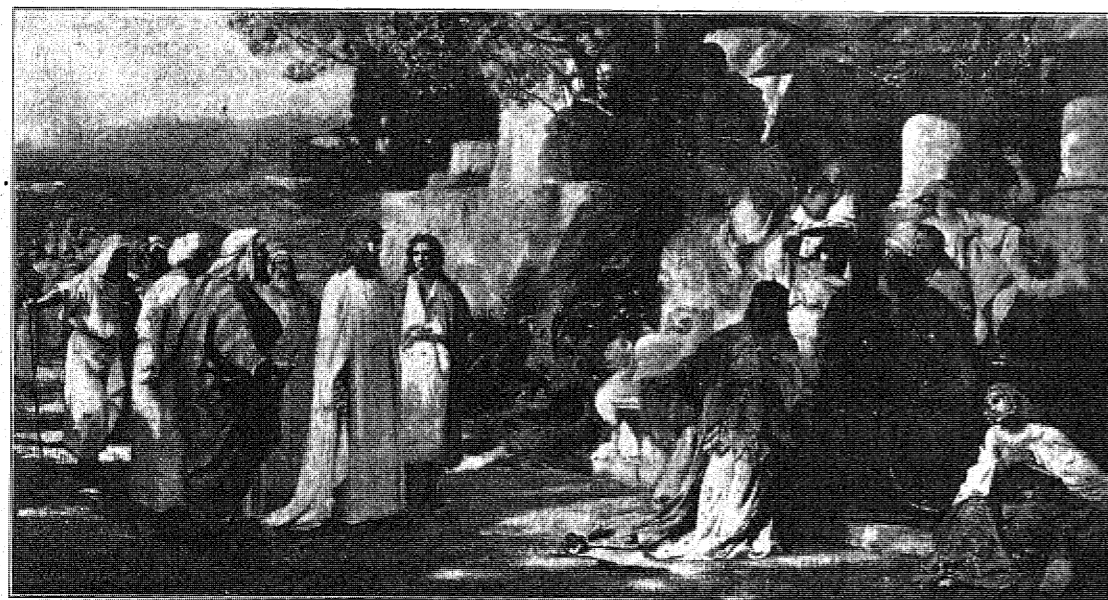
J. Chelmoński.



Pejzaż tyrolski.

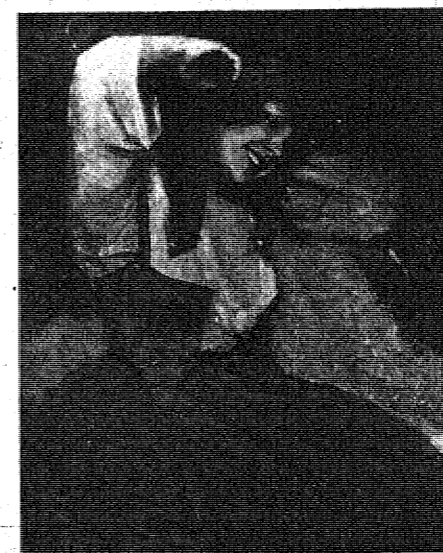
Al. Gierymski.

Wystawa obrazów „Mistrzów Malarstwa Polskiego“ w Miejskiej Galerji Sztuki.



Jawnogrzeźnica

H. Siemiradzki.



Śmieszka.

B. Szankowski.

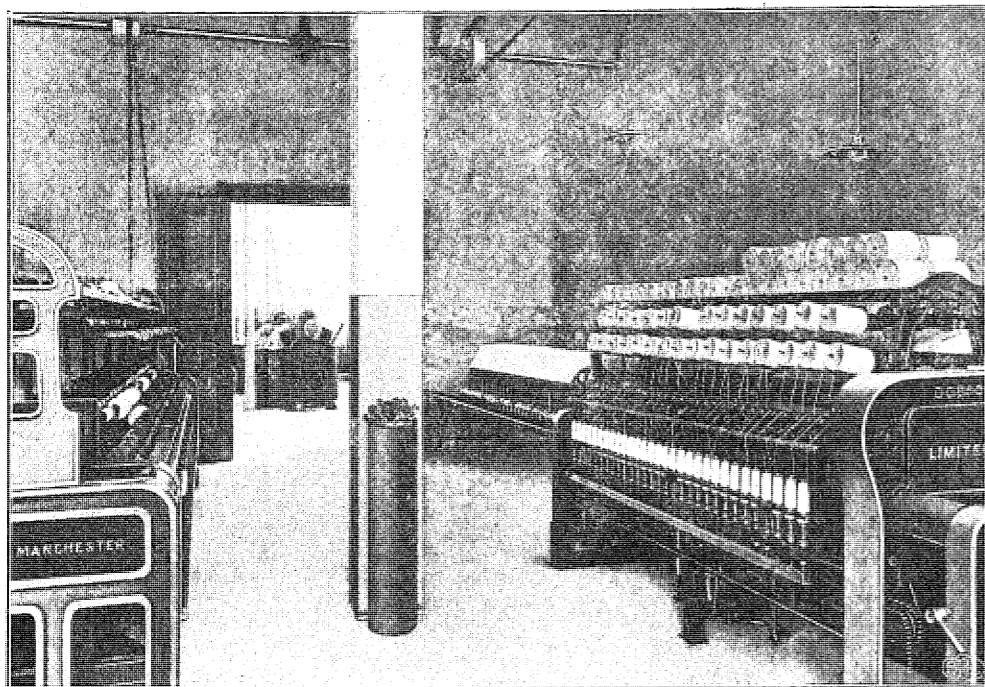


Połowanie nad Bosforem.

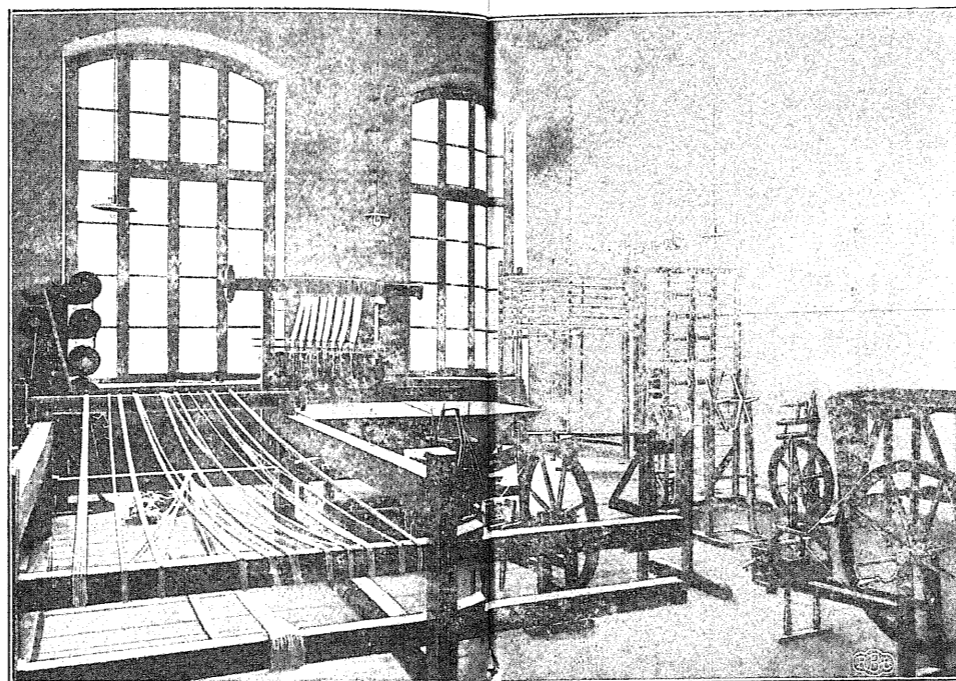
T. Ajdukiewicz



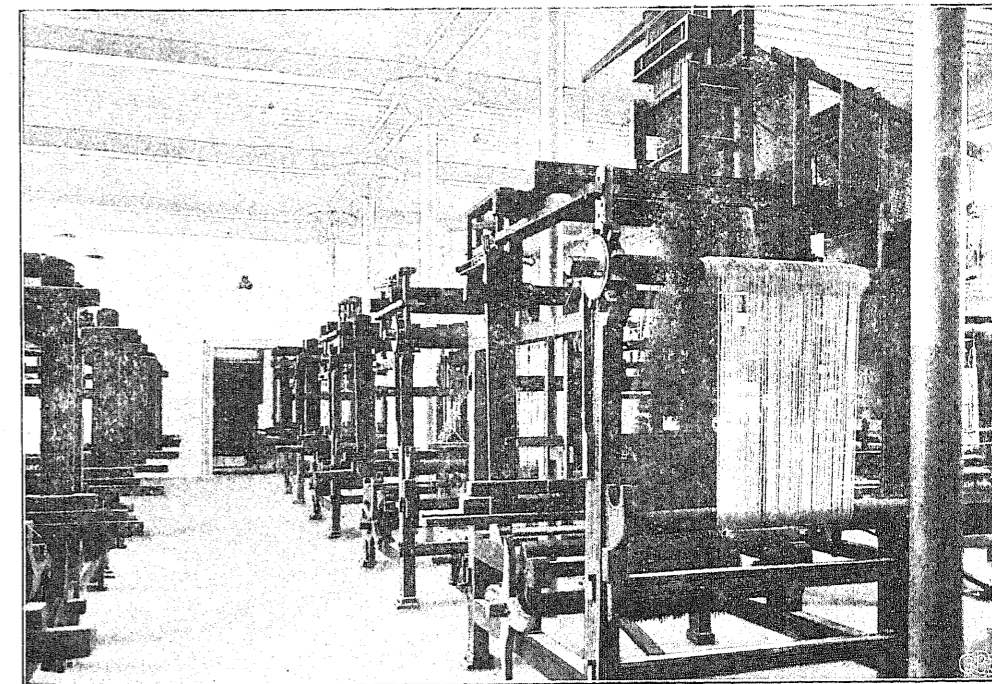
7-mio lecie Państwowej Szkoły Włókienniczej w Łodzi.
(Ciąg dalszy).



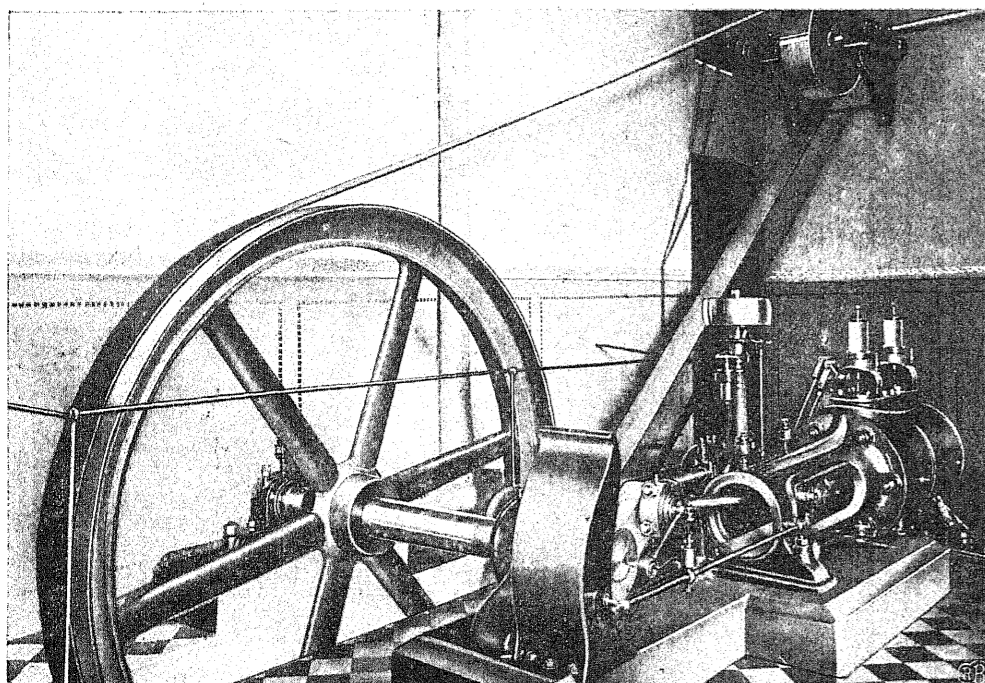
Sala maszyn przędzalniczych.



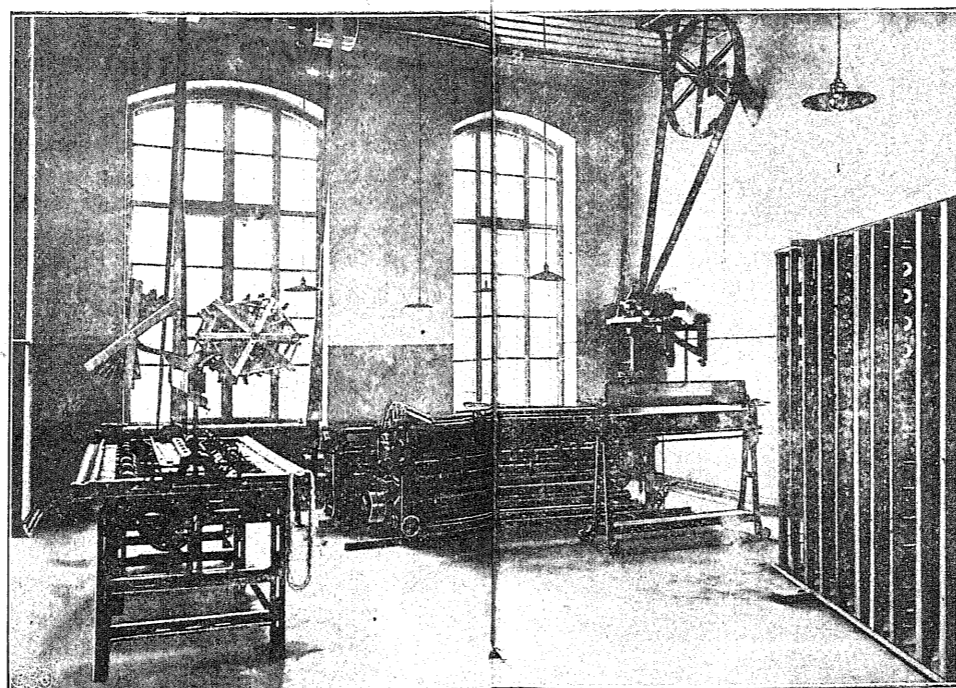
Tkałniczna.



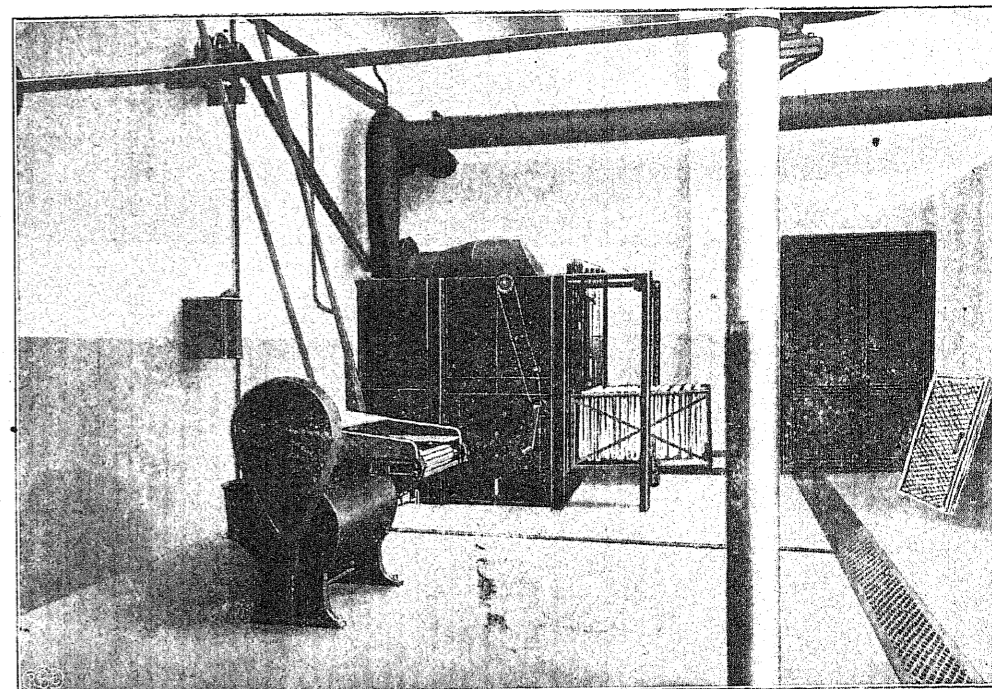
Snownia.



Fragment sali maszyn napędowych.



Maszyny tkali mechanicznej.



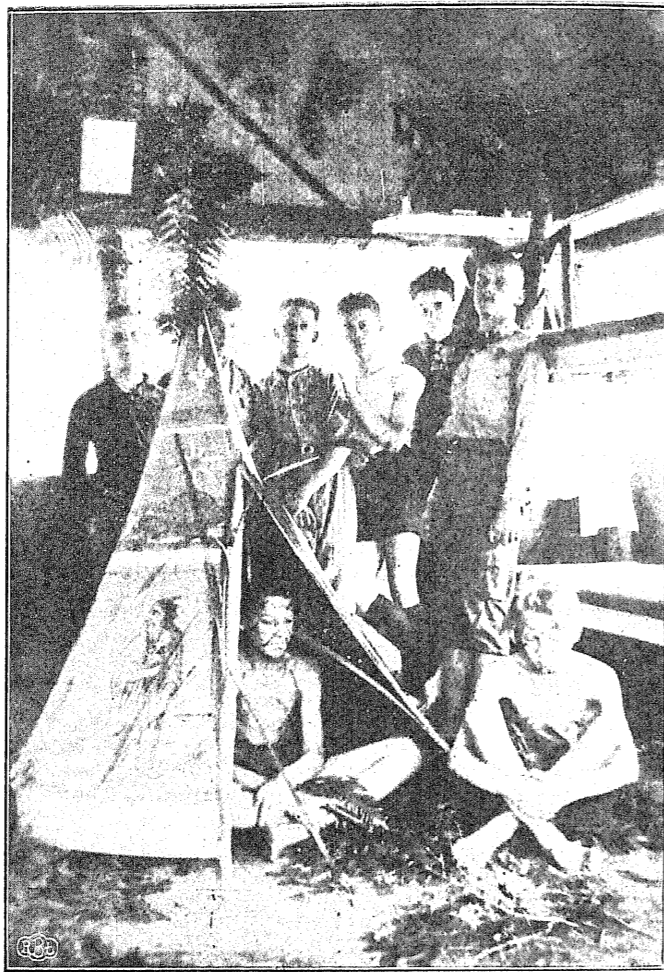
Suszalnia.



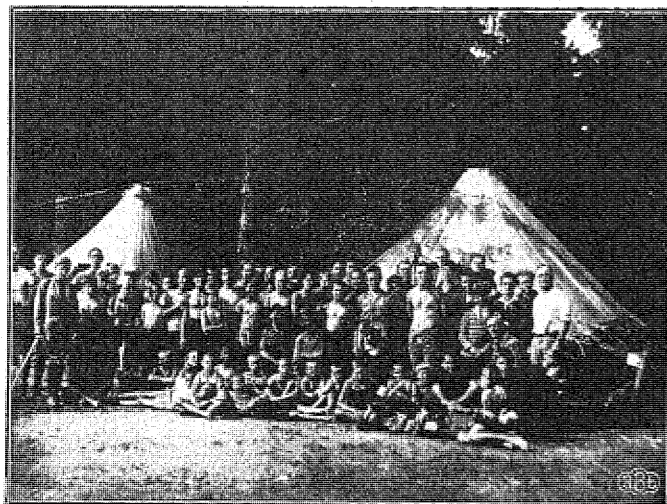
Z Obozu Polskiej Y. M. C. A.



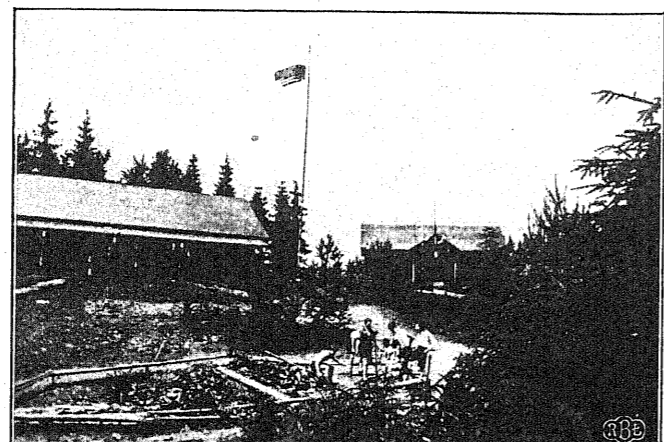
Uroczystość poświęcenia chorągwi, darowanej przez obozowian w Mszanie kościołowi w Kasince Malej.



Wigwam indyjski w obozie.



Chłopczy polscy w obozie Y. M. C. A. Czeskiej w Orawie.



Ogólny widok obozu w Mszanie Dużej.

PR. M.

Zdrajca.

Pewnego jesiennoego dnia Mateo Falcone wyszedł wcześniej z domu wraz z żoną dla skontrolowania jednego z pasących się stad w oddalonym lesie. Mały Fortunato chciał rodzicom towarzyszyć, ale ojciec nie wziął go z sobą; droga była bowiem zbyt daleka, zresztą musiał ktoś w domu pozostać.

Wyciągnięty na piasku wygrzewał się w promieniach słońca, patrząc na tonące w błękitach szczyty górskie i myśląc o smacznym obiedzie, który go czekał w niedzielę u stryja - wójta w sąsiednim miasteczku...

Wtem rozległy się strzały, a jednocześnie na ścieżce ukazał się człowiek w łachmanach. Wspierając się na strzelbie z trudem wólkł się ku domostwu. Jeden ze strzałów trafił go w nogę.

Zbliżywszy się do chłopca spytał:

— Jesteś synem Mateo Falcone?

— Tak.

— Ja nazywam się Gianetto Sanpiero. Policja za mną. Ukryj mnie, nie mogę iść dalej.

— Co powie mój ojciec, jeśli cię ukryje bez jego pozwolenia?

— Powie, żeś dobrze zrobił.

— Kto wie?

— Prędko! Zbliżają się już.

— Co mi dasz za to?

Bandyta sięgnawszy do kieszeni wydobyl pięć franków. Fortunato chwycił srebrną monetę, zrobił dziurę w stogu siana tuż przy domu i przykrył Gianetta, który się w nią rzucił tak zręcznie, że nie sposób było przypuszczać, aby się kto tam ukrywał. Z boku rozgarnął nieco siana, dając przystęp powietrzu.

Pobiegłszy następnie do szopy przyniósł kotkę z kociętami i umieścił na wierzchu stogu.

Poczem położył się znowu w słońcu.

W parę chwil potem sześciu ludzi w mundurach z adjutantem na czele stało przed domem. Adjutant był dalekim krewnym Mateo Falcone.

— Jak się masz, kuzynku — odezwał się do Fortunato — powiedz mi, w którą stronę poszedł Gianetto, jego bowiem szukamy. Jestem pewien, że miał wasze domostwo.

— Spałem.

— Nieprawda, nieponi! Strzały cię na pewno zbudziły. Towarzysze, przeszukajcie chatę. On musi być tutaj. Kula! już na jedną nogę! Lotr wiedział doskonale, że nie dowlecze się do lasu. A ciebie smarkaczu dzielę ręką szpady ze dwadzieścia razy! Zobaczmy, czy nie wyśpiewasz prawdy!

Chłopiec parsknął śmiechem i odparł z emfazą, głaszcząc kotkę.

— Moim ojcem Mateo Falcone.

— Adjutancie — szepnął jeden z żołnierzy, który już wrócił z krótkiej rewizji w skromnej chatce — nie zadzierajmy z Mateo!

Zbliżywszy się do stogu siana, uderzył weń bagnietem, podczas gdy chłopiec z niewzruszonym spokojem pieścił kotkę.

— Sprytny jesteś, kuzynku! — spróbował adjutant inną drogą wydobyć prawdę z malca. — Zajdziesz daleko. Ale żyj ze mną lepiej w zgodzie. Gdyby nie to, że nie chcę robić przykrości memu krewnemu Mateo — wiedziałbym jak ciebie zażyć!

— Bah!

— Ale jak Mateo wróci opowiem mu wszystko i ojciec za kłamstwo wygarbuje ci dobrze skórę.

— Pytanie?!

— Zobaczysz... Ale słuchaj, bądź grzecznym, a nie pożałujesz tego... dam ci coś.

— Kuzynie, radzę ci spieszyć się, bo Gianetto dowlecze się tymczasem do lasu, a tam... i dziewięciu takich zuchów, jak ty, nie znajdzie go.

Adjutant wyjął z kieszeni srebrny zegarek na stalowym łańcuszku.

We wzroku Fortunata zabłysło pożądanie.

— Oszuście! Chciałbym mieć ten zegarek?

A zegarek tymczasem kołysał się przed jego oczyma, zawadzając niemal o koniec nosa.

Pokusa była zbyt silna.

Fortunato podniósł lewą rękę wskazał poza siebie na stóg siana, o który się plecyma wspierał.

Adjutant w mig zrozumiał. Puścił łańcuszek.

Fortunato zacisnął dłoń, zerwał się na równe nogi i odskoczył na dziesięć kroków od stogu, który żołnierze wnet jęli rozgarniać. Niebawem oczom ich ukazał się człowiek okrwawiony ze sztyltem w ręku z trudem próbujący stanąć na nogach.



MISS FAY CULNIER, fenomenalna tancerka „Ziegfeld Follies” w Nev-Jorku posiada niepowszednią urodę i czar młodości swych 20-tu wiosen.

Adjutant rzuciwszy się nań, wyrwał mu broń z ręki. Skrępowano go matychmiast pomimo silnego oporu. Gianetto leżąc na ziemi związany jak pęk chróstu zwrócił głowę w stronę zbliżającego się doń Fortunato.

— Podły...! — wycedził, nietyłe z gniewem, co z pogardą.

Dziecko rzuciło mu srebrny pieniądz, ale jeniec jak gdyby nie widząc tego, zwrócił się do adjutanta.

— Kochany Gamba, nie mogę iść.

— Zrobimy nosze z gałęzi i twej kapoty, a na fermie Crespoli dostaniemy konie.

— Dobrze. Każ położyć nieco słomy na wierzch.

Podczas gdy żołnierze szykowali nosze, Mateo Falcone z żoną zjawił się nagle na ścieżce.

— Hola! mój stary — zawołał adjutant — to ja, Gamba, twój krewniak. Schwytaliśmy Gianetto Sanpiero!

— Dzięki Bogu — zawołała stara Falcone — w zeszłym tygodniu ukradł nam dojną kozę!

— Bronił się jak lew — opowiadał Gamba — a później ukrył się tak dobrze, że bez pomocy mego kuzynka Fortunato, nigdy bym go nie był znalazł.

— Fortunato! — zawołał Mateo przerażony.

— Tak, Gianetto zarył się w ten stóg siana, ale kuzynek go wydał z sekretu. Powiem wójtowi. Przysze mu napewno piękny podarunek, a nazwisko wasze podam do raportu.

— Psia krew! — szepnął Mateo ponuro.

Gianetto już na noszach, ujrawszy zbliżającego się Mateo w towarzystwie Gambi splunął w stronę drzwi chaty mówiąc z dziwnym uśmiechem na ustach:

— Dom zdrajcy!

Zimny pot wystąpił na zbladłe czoło Mateo.

Wsparty na swej strzelbie Mateo ponurem spojrzeniem mierzył syna, który z niepokojem na twarzy przenosił wzrok z ojca na matkę.

— Dobrze zaczynasz — przemówił ojciec wreszcie spokojnym głosem, strasznym jednak od tłumionego gniewu.

— Ojcie! — zawołał chłopiec ze łzami w oczach podchodząc do Mateo, który krzyknął:

— Precz odemnie!

Dziecko stanęło wybuchając łkaniem.

— Kto ci dał zegarek? — spytała matka surowo spostrzegłszy łańcuszek zwisający z pod koszuli chłopca.

— Mój kuzyn adjutant.

— Matko — zwrócił się do żony — to dziecko jest pierwszym zdrajcą w naszym rodzie!

Poczem zarzucił strzelbę na ramię i zwrócił na drogę wiodącą do lasu, krzyknawszy na syna, by szedł za nim.

Dziecko usłuchało.

Kobieta podbiegła do swego męża:

— Twój syn — szepnęła wpijając weń swe czarne oczy z niemym pytaniem.

— Zostaw — odparł Mateo — ojcem mu jestem.

Matka uściskawszy syna zawróciła szlochając ku chacie, gdzie padłszy przed Matką Boską w żarliwej zatonęła modlitwie.

Przeszedłszy sto kroków Mateo zatrzymał się w wąwozie.

— Fortunato, stań pzy tym kamieniu, ukleknij i zmów pacierz.

— Ojcie mój, ojcie, nie zabijaj mnie!

— Mów pacierz! — powtórzył Mateo strasznym głosem.

Dziecko łkając odmawiać poczęło „Pater“, „Credo“, „Ave Maria“. litanję do Matki Boskiej, a w końcu ucichęło.

— Skończyłeś!

— Oci, mój ojcie, przebac mi, nie zabij.....

— Niech ci Bóg przebaczy — odparł Mateo, dając ognia.

Fortunato padł trupem.

Nie patrząc na zwłoki Mateo skierował się ku domowi po łopatę by swego syna pogrzebać.

Na spotkanie biegła już żona zaalarmowana wystrzałem:

— Coś ty zrobił? — krzyknęła.

— Porządek.

Kobieta zachwiała się.

— Gdzie dziecko?

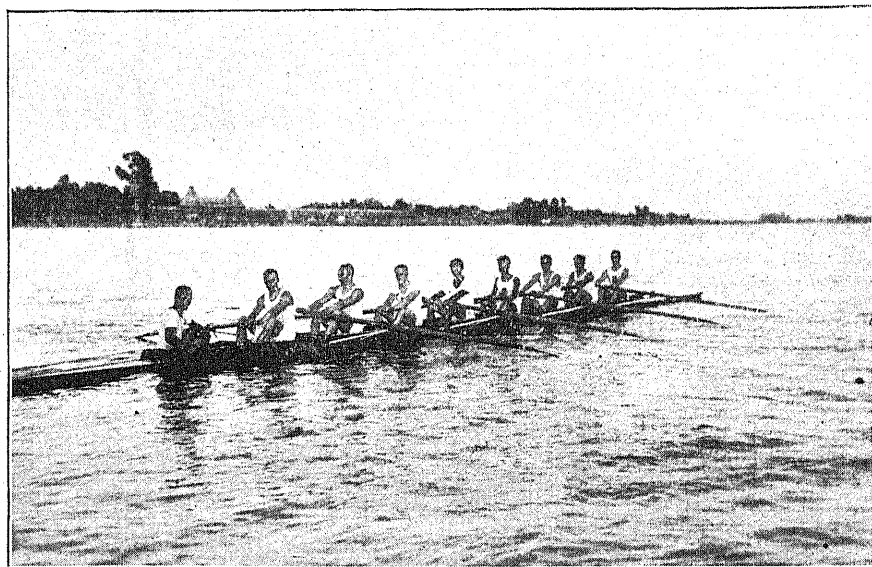
— W wąwozie. Pochowamy go. Umarł po chrześcijańsku. Zakupię Mszę Świętą za jego duszę.

Tłum. Jotsaw.

„Warszawianka” w Sofji.



Drużyna warszawskiego klubu piłkarskiego „Warszawianka”, która bawiła ostatnio w stolicy Bułgarii.



Zwycięska 8 A. Z. S. Warszawa, mistrz stolicy w wioślarstwie na rok 1926.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 3 października 1926 roku.

Nr. 40.

Arcydzieło Żeromskiego na scenie łódzkiej.



Na inaugurację sezonu zimowego w Teatrze Miejskim w Łodzi zostało z olbrzymim nakładem sił wystawione arcydzieło dramatyczne Żeromskiego „Róża”. Na zdjęciu scena z balu — sprawa VI.